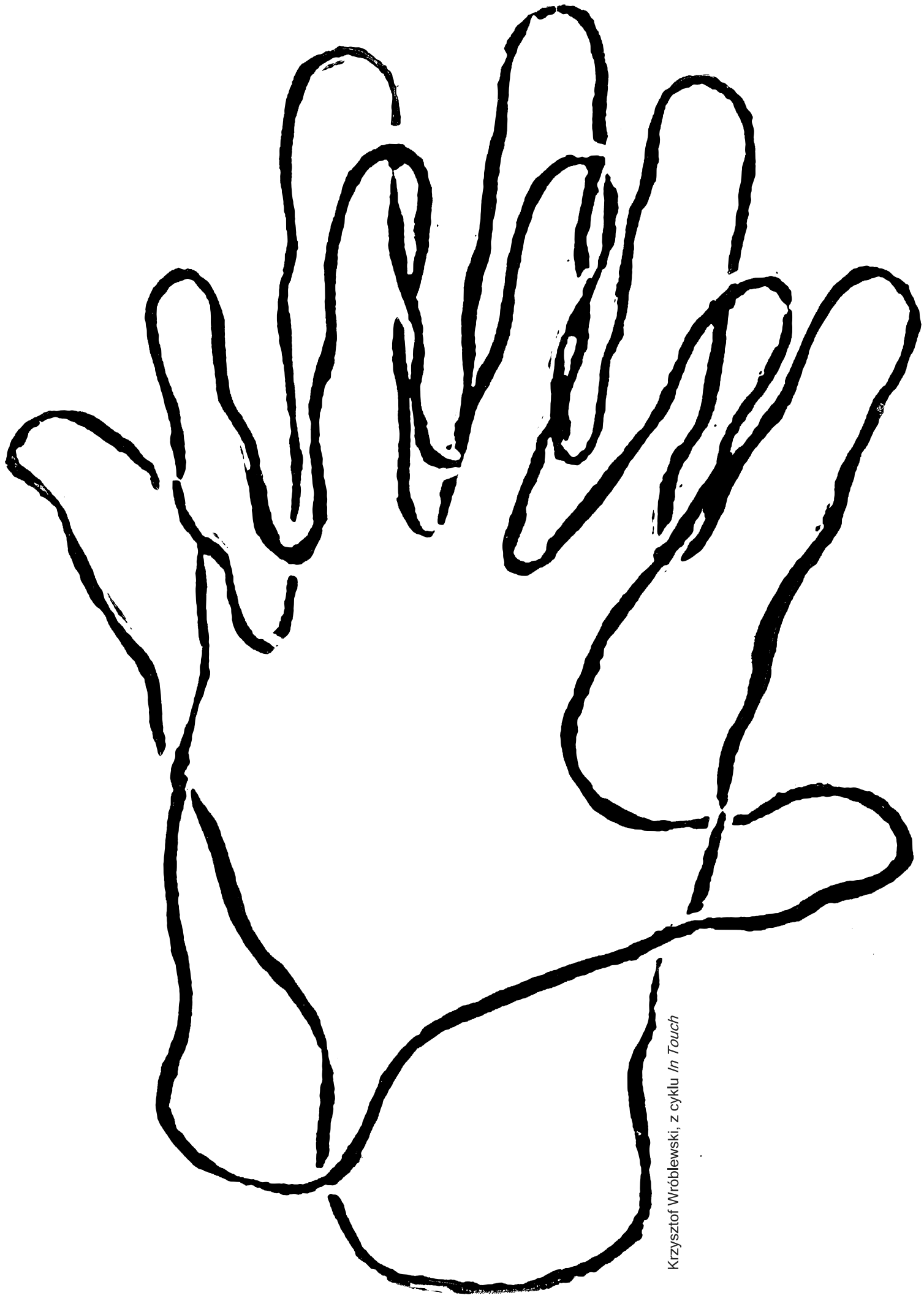
Dyskurs

Lokalny

Wystawy, wydarzenia, radość i paździerz w Trójmieście—Nr listopadowo-grudniowy (12) 2020—Nakład 200 egz.—Znikąd nie dofinansowano—Mimo tego pismo bezpłatne—ISSN 2657-8492



Krzysztof Wróblewski, z cyklu *In Touch*

W NUMERZE: — Mikrorecenzje — PlayDead.info — Pozdrowienia dla Rafała Księżyka — Śledztwo ws. Sympozjonu Psychedelicznego — O niezatrzymaniu Ani Bielawskiej — Żyd z pieniążkiem — Wywiad idealny

Gdy piszę ten tekst, jest 17 grudnia i ogólny kształt dwunastego numeru „Dyskursu Lokalnego” jest już omówiony z redakcją, ustalony, a prawie wszystkie materiały, które się w nim znajdą — są gotowe. Pozostaje tylko stworzyć tzw. wstępniak. W tymże dniu podczas porannej prasówki — niegdyś kulturalny zwyczaj, od kilkunastu miesięcy raczej praktyka sado-maso — natknąłem się na następującą informację w „Rzeczpospolitej”: „Fake news będzie zwalczany przez ślepy pozew […]. Jak walczyć z fake newsami i obraźliwymi treściami w internecie? Ministerstwo Sprawiedliwości już wie. Ma gotowy projekt ustawy o ochronie wolności słowa”.

Na wypadek, gdyby zdarzyło się, że w przyszłości czytać to będzie Czytelnik niepamiętający roku 2020, muszę wyjaśnić: ekipa obecnie rządząca ma z wolnością słowa jeszcze mniej wspólnego niż z poprawną polszczyzną mają internetowe wydania „Rz”, w których próżno szukać kursywy czy poprawnej interpunkcji, w tym zwłaszcza polskich cudzysłowów. PiS wie z pewnością sporo o *fake newsach*, ba, sprawnie je tworzy, czego dowodem jest TVP przemienione w propagandowego upiora. Najzabawniejsze w tym wszystkim jest jednak to, że eksplozję fejków i teorii spiskowych zawdzięczamy bezpośrednio Internetowi z jego radykalną wolnością słowa — a ustawa ma zarówno *fake newsy* zwalczać, jak i wolność słowa chronić… Nasi włodarze na pewno jednak sobie z ochroną wolności poradzą, dobrze bowiem rokują w tej materii walki nominalnego ministra Zbigniewa Ziobry o prawo łódzkiego drukarza do drukowania lub niedrukowania tego, co mu się żywnie podoba*, albo oklaski nominalnego Rzecznika Praw Dziecka Mikołaja Pawlaka podczas uroczystości urodzin Radia Maryja, gdy o. Tadeusz Rydzyk umniejszał winę biskupów tuszujących nadużycia seksualne względem nieletnich.

Dlaczego o tym piszę? Otóż w dobie rozpędzonego wiktoriaństwa pragnącego surowym spojrzeniem, ewentualnie silną ręką, uciszyć to, co ma za wybryki/wymysły/zboczenia/opresje/oburzające zachowania, usprawiedliwiając jednocześnie własne gesty, w czasie, gdy byle błahostka może w dowolnej chwili stać się „antypolską”, „antyeuropejską” albo „faszystowską” — ostatnią rzeczą, której nam w tym momencie brakuje, jest ustawa o zwalczaniu treści. Ciężkie to czasy dla pisma takiego jak nasze, które stara się odwoływać do wyczucia Czytelniczek… Dołóżmy do tego fakt, że „DL” jest pismem o wystawach i sztuce, ponadto lokalnym, siłą rzeczy więc zamieszczającym teksty o znajomych (a artyści lubią być chwaleni za swój wysiłek, chcą dobrze wypadać; renoma i rozpoznawalność znaczą wiele w tym światku) i mamy wycieczkę po polu minowym, a nie po prostu „pisanie”.

Czytelnicy pamiętają może majowo-czerwcowy (9) numer „DL” z nalepką… Na szczęście papier jest jednym z najtrwalszych dostępnych nam mediów, czego dowodzą tak zachowane na nim artefakty historyczne, jak i istnienie rozmaitych „drugich” i „trzecich obiegów” opierających się wszelkim reżimom i cenzurom. Napięcie między wirtualem a realem przewija się przez cały obecny numer „DL” — jest recenzja książki pełnej kodów QR i nawiązującej do pracy w zasadzie net-artowej (*PlayDead.info*); jest nieco o efemeryczności materiałów funkcjonujących wyłącznie cyfrowo i o archiwizacji; jest raport ze śledztwa ws. legendarnych druków, które — jak udało się ustalić — zachowały się w pojedynczych egzemplarzach. Napięcie to odczuwałem silnie, gdy pod wpływem facebookowych doniesień z Warszawy pisałem tekst o Ani Bielawskiej i gdy Ania opublikowała długi i zamotany, ale chyba ważny, post o Akademii, będący niejako jej manifestem. Zastanawiałem się, czy zaproponować jej publikację w „DL”, ale ostatecznie uznaliśmy, że Internet jest dla tego tekstu lepszym medium.

W tym numerze pozwoliliśmy sobie również na eksperyment i skorzystaliśmy z formuły internetowego *open calla*, czyli otwartego naboru. Wybór nie był łatwy, czego dowodem jest fakt, że nie wybraliśmy jednej ilustracji na pierwszą stronę, lecz *ex æquo* dwie. Tym samym listopadowo-grudniowy (12) nr „DL” wychodzi w dwóch odmianach, różniących się okładką. Połowa nakładu ma na przedzie reprodukcję linorytu z cyklu *In Touch* Krzysztofa Wróblewskiego, artysty i współzałożyciela dawnej Galerii Koło. Druga z kolei połowa nakładu prezentuje *Kutafonię* Sebastiana Choromańskiego, artysty i współtwórcy Galerii Pawlacz.

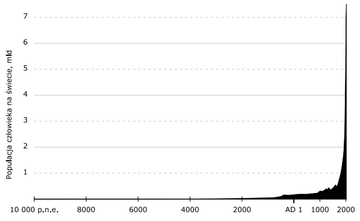
W imieniu redakcji serdecznie dziękuję za wszystkie nadesłane na *open call* prace. A jako że to ostatni numer w tym roku, pozwolę sobie rozszerzyć swoje podziękownia na wszystkie osoby współpracujące i sympatyzujące z „DL” — mimo pandemii odchodzący rok był dla naszego pisma niezwykle owocnym i jest to nasz wspólny sukces. Oby w nadchodzącym czasie było lepiej (niż w 2020 r. ogólnie) i jeszcze lepiej (niż w 2020 r. „dyskursowym”)!

PSzM

* Osobiście byłbym za wprowadzeniem klauzuli sumienia dla wszystkich we wszystkim i mielibyśmy spokój z debatami, komu przysługuje, a komu nie. Tylko czy wtedy żylibyśmy wciąż pod prawem państwowym, czy już wyłącznie pod prawem sumienia? Mówiąc już zupełnie bez ironii: zdaje mi się, że żadna ze stron politycznego sporu nie bardzo odróżnia własne sumienie od obowiązujących całość społeczeństwa norm.

Mikrorecenzje

***Zmierzch antropocenu* (zbiorowa) w Zbrojowni Sztuki.** Na razie to antropocen ma się tak:



***Postkatastroficzne Muzeum Antropocenu* Agnieszki Wołodźko w Halo Kulturze.** Modne skorupy.

Wystawa twórczości kolektywu Kabina w Plamie. Trochę na zasadzie: czerwony samochód = szybki samochód (ale przynajmniej w jakimś w miarę sensownym kierunku to auto jedzie).

***Malarstwo* Aleksandry Jadczuk w Galerii ASP (Dom Angielski).** Kaflarstwo.

***Raz na ludowo. Od folkloru tanecznego do folku* w NCK.** Basia Gryka zrobiłaby to lepiej.

***Świetlenia* Agnieszki Wielewskiej w Sztuce Wyboru.** Był jeden obraz, który wyglądał dobrze, a jeżeli cokolwiek dobrze wygląda w Sztuce Wyboru, to czyni całą wystawę fajną.

***Cena futra* Julii Tymańskiej w ramach *Otwartych Klatek* w Galerii Pawlacz.** Czy ogryzek to jabłko?

***Klatki schodowe. Wystawa rękodruków* oraz *Klatki schodowe 2 czyli wystawa gifów analogowych* Sebastiana Choromańskiego w Galerii Pawlacz.** Człowieku, zwolnij!

***Smile, please* Magdaleny i Ksawerego Kirklewskich w LKW Gallery (Łaźnia; cykl *Windows* 2020).**



***Formy pośrednie* (Martyna Rajewska, Jolanta Kwarciak) w Kolonii Artystów.** Średnio.

***(nie)legalne zgromadzenie* Zuzy Dolegi w e__ae_ miejscu (Stocznia).** W końcu coś, co nie jest pitoleniem o żywiołach, ogniu, „na początku było Słowo” etc., zatem oceniam na F. Zwłaszcza fajnie to wygląda na zdjęciu Tomka Cieślikowskiego:



***Bad trip* Martyny Jastrzębskiej w Tajnej Galerii.** Między Agnieszką Kurant (*Bezludzka ziemia* w Zamku Ujazdowskim) a Krzysztofem Gliszczyńskim.

Tajna Galeria ogłosiła zakończenie działalności w dotychczasowej lokalizacji. To wielka szkoda, bo to była fajna galeria. Liczymy, że to nie jest ostateczny koniec i że spotkamy ją wkrótce w innym wcieleniu.

***Głuchy rechot* Kamili Chomicz w CSW Łaźnia.** Zaangażowany filmik przyrodniczy. Ale obejrzałem z zaciekawieniem — to nie jest po prostu film o żabach, lecz o płazach w Gdańsku, a sporą część filmu poświęcono nawet konkretniejszemu tematowi: ropuchom z VII Dworu. Jeżeli zaś rozłożyć dziełko na mniejsze elementy, które je współtworzą, to należy pochwalić Anię Witkowską za bardzo fajną grafikę, Stendka za spoko muzykę i ponarzekać na brzydkie animacje Ariny Sizovej. O wiele lepiej by te animacje wyglądały, gdyby bazowały np. na grafikach Witkowskiej.



Żałuję, że nie dotarłem na *Ani Boga Ani Pana* Daniela Cybulskiego w WL 4 — Mlecznym Piotrze; na rejestracji wideo (https://dyslok.pl/DL12/cybulski) wygląda świetnie!

Żałuję, że nie zobaczyłem wystawy prac Jana Miśka w Projektorni (GAK).

Żałuję, że znów nie dotarłem na do e__ae_ miejsca, tym razem na *Wystawę do czytania* Karoliny Pochwatki.

Bardzo żałuję, że przegapiłem wystawę Łukasza Rogińskiego w Nowym Warzywniaku. Urzekła mnie prostota jego wypowiedzi: „Przede wszystkim muszę wyjaśnić sprawę rzeźbiarzy tworzących macewy, litery, symbole i ozdoby. Kując nagrobki dla tych, co odeszli, przechowali pamięć sięgającą wstecz w tysiąclecia. Na macewy nakładałem papier i nacierałem go świecą. W pracowni zamalowywałem papier tuszem, uzyskując dokładną odbitkę płyty”.

W Nowym Warzywniaku chciałem też obejrzeć wystawę *Pedagodzy (1945—2020. Szkoła Plastyczna w Gdyni Orłowie)*, ale w przestrzeni ekspozycyjnej akurat odbywał się jakiś wykład czy coś w tym stylu. Nie chciałem przeszkadzać, zatem nie zobaczyłem — no ale pedagodzy, wykład, więc wszystko się zgadza. No i tej wystawy **akurat nie żałuję.**

Żałuję za to naprawdę, że nie udało mi się obejrzeć witryny, którą w ramach pandemicznego pokazu zaaranżowała Anna Kwiatkowska w kawiarni Black and White Coffee w Gdyni.

Pamiętnikarski rozrachunek ze śmiercią

Urszula Kluz-Knopek, artystka wizualna, doktora sztuki i inżyniera napisała książkę. *PlayDead.info* to eseistyczny zapis rozmyślań autorki nad śmiercią.

Społeczeństwo jako żywy i dynamiczny twór nieustannie ewoluuje w nowe formy. W wyniku tej transformacji przeobrażeniom ulegają wszelkie zjawiska kulturowe, w tym całe spektrum emocji, zwyczajów i rytuałów związanych ze śmiercią. Aby dotrzymać kroku zmianom, nieuniknione jest poszukiwanie i wyznaczanie nowych „dróg umierania” oraz nowego języka do opisu tego zjawiska w ciągle zmieniających się warunkach. Próbą takiego przeformułowania myślenia o śmierci jest *PlayDead.info*, czyli podane w formie eseju rozważania na temat współczesnej kondycji społeczeństwa w jego relacji ze śmiercią, wspomagane przykładami z różnych dziedzin. Zasadą konstrukcyjną książki jest podział jej treści na części teoretyczne, stanowiące wprowadzenie w poruszaną tematykę, po których następuje opis poczynań artystycznych autorki, sprowadzających się do dwóch projektów: *Latającego Domu Dobrej Śmierci* oraz czteroczęściowego projektu internetowego zatytułowanego właśnie *PlayDead.info*. Celem projektu Kluz-Knopek jest poszukiwanie nowego miejsca i sposobu na jawne zaistnienie śmierci w stechnologizowanym świecie, w którym przesuwają się granice pomiędzy życiem i śmiercią, a pojęcie nieśmiertelności zyskuje zupełnie nowe oblicze.

Aby postawić trafną diagnozę teraźniejszości, należy zrozumieć przeszłość, dlatego na wstępie dostajemy w pigułce „dzieje śmierci”, począwszy od XVI wieku (mowa tu głównie o Zachodniej Europie i Ameryce Północnej). Z tego historycznego opisu wyłania się nieciekawy obraz nowoczesności, w której nie ma miejsca na śmierć i związane z nią rytuały. Po tym wstępnym rozpoznaniu dowiadujemy się, że te umniejszane i tłamszone emocje oraz potrzeby, które nieodłącznie towarzyszą ludziom w doświadczaniu śmiertelności, znajdują ujście w nowych zachowaniach i działaniach.

Przytaczane przez autorkę przykłady mogą zainteresować szczególnie tych, dla których *PlayDead.info* jest pierwszym kontaktem z literaturą tanatologiczną. W książce znajdziemy wiele przykładów zjawisk społecznych oraz wszelkich wytworów kultury interpretowanych przez pryzmat śmiertelności / śmierci. Książka liczy prawie 300 stron, jednak czyta się ją bardzo szybko, a przedstawione interpretacje zgłębiają temat tylko na tyle, na ile jest to konieczne, co jest zarówno zaletą jak i wadą. Walorem tej skrótowości jest przystępność książki nawet dla najbardziej niecierpliwych czytelników. Wadą — to, że może znudzić albo rozczarować czytelników zorientowanych w temacie. Chwilami odnosiłam wręcz wrażenie, jakby na potrzebę zgrabnej narracji wybrane zostały tylko pasujące do niej fragmenty historii czy konkluzje wynikające z obserwacji ukierunkowanej na poszukiwanie konkretnych i z góry zakładanych wniosków. To trochę tak, jakby przeprowadzić badanie naukowe, ale przymknąć oko na wszystkie wyniki, które nie potwierdzają naszej tezy.

Moją największą wątpliwość budzi podział na dobrą przeszłość i złą teraźniejszość, na którym autorka opiera swoją narrację. Zrozumiałe jest, że aby uporządkować i nadać kształt pracy, trzeba wyznaczyć pewne ramy, ale ich określenie i przyjęcie stanowiska nie powinno prowadzić do uproszczeń i naciąganych konkluzji. W tym niesprawiedliwym zestawieniu przeszłość jest idealizowana a teraźniejszość wypaczana, a przecież dokonywanie ewaluacji teraźniejszości poprzez paralele zjawisk i zwyczajów z epok poprzednich jest porównywaniem odmiennych jakości. Ukoronowaniem tej polaryzacji jest przeciwstawienie historii, jako utkanej z przełomowych wydarzeń i tworzonej przez wybitne jednostki (władcy, filozofowie itd.), z teraźniejszością, która zostaje nazwana „bagnem przemijania”, składającym się z mało znaczących epizodów, w którym rolę królów czy odkrywców przejęli celebryci. Szkopuł w tym, że wydarzenia każdej z epok są takim „bagnem”, a dopiero przesiane przez grube sito historiografii układają się w ciąg przełomowych wydarzeń. Historia, do której się odwołujemy i którą sobie wyobrażamy, nie jest przecież tym, co wydarzyło się faktycznie, lub raczej: jest nie tylko tym. To, co zostanie przez nas z przeszłości wybrane, to punkty na osi czasu, których wskazanie jest zdeterminowane przez wyznawane przez nas wartości, a zatem nie może uchodzić za neutralne i oczywiste. „Wielka historia” i „bagno przemijania” oddziałują na siebie wzajemnie, ale na pewno nie są to jednostronne relacje, w których łatwo wskazać dobro i zło. Dla Kluz-Knopek jednak każde odniesienie do przeszłości to oddanie jej nostalgicznego pokłonu. Jako że *PlayDead.info* jest esejem, to subiektywizm wypowiedzi jest wskazany, a wręcz nakazany, dlatego oceniające stwierdzenia nie powinny dziwić. Mimo to raziły mnie także niektóre opinie autorki i jej oceny wrażliwości innych w materii tak delikatnej, jaką są doświadczenia związane z końcem życia.

PlayDead.info jako książka o śmierci jest dla mnie jednak wyłącznie echem głosów znawców tematu (Ariès, Vovelle, Gorer). Z nowości przedstawia nam kilku współczesnych działaczy i ich projekty na rzecz „oswajania śmierci” opatrzone komentarzem autorki. Jednak w gronie tych, którzy choć trochę interesują się tanatologią współczesną, są to postaci i dzieła popularne oraz dość dobrze rozpoznane. W książce naturalnie znajdziemy sporo trafnych spostrzeżeń, jednak brakuje jej oryginalnych konkluzji, a niekiedy trafiają się banały albo trywialne porównania, np. duszy do software’u czy chorób do wirusów atakujących komputery.

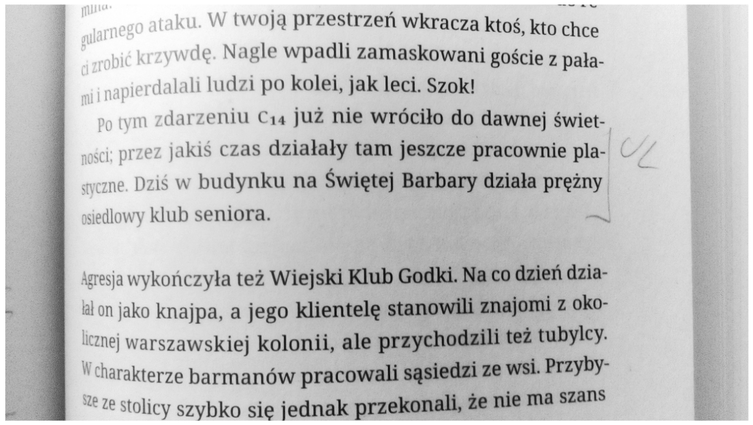
Źródła przytaczane w *PlayDead.info* umieściłabym w kategorii tych, do których wraca się wielokrotnie, choć sama książka Kluz-Knopek nie ma raczej szansy na stanie się jednym z nich. Mnie wydała niezbyt konkretna, sprawiająca wrażenie „książki-samograja”. Podczas lektury wielokrotnie zastanawiałam się nad tym, jakiego odbiorcę wyobrażała sobie autorka? Momentami odnosiłam wrażenie, jakby książka napisana została z myślą o niej samej, nie o potencjalnym czytelniku.

Paulina Dylewska

Donos i śledztwo, czyli wstępne rozpoznanie w sprawie Sympozjonu Psychedelicznego

Przyznaję, że miałem lekkie wyrzuty sumienia, kiedy wysyłałem Piotrowi Mańczakowi „donos” na książkę Rafała Księżyka w postaci zdjęcia, które drukujemy obok. Moje skrupuły miały dwa źródła. Po pierwsze, czytałem *Dziką rzecz* zachłannie, po drugie — Księżyk poświęcił w niej więcej miejsca trójmiejskiej sztuce przełomu lat 80. i 90. niż cała tutejsza akademicko-uniwersytecka historia sztuki przez ostatni rok. A może i dłużej. Napisał o Totarcie, o performerskim duecie Ziemia Mindel Würm (Marek Rogulski / Piotr Wyrzykowski), a przede wszystkim o trójmiejskich klubach: sopockim Sfinksie i gdańskim Klubie Inicjatyw Społecznych. Od pewnego czasu krążą wieści, że niebawem ukaże się książka podsumowująca wieloletnią działalność Sfinksa, co rozbudza ciekawość śledzących trójmiejską scenę i z niecierpliwością każe wyczekiwać premiery publikacji. O Klubie Inicjatyw Społecznych też przydałoby się napisać obszerniejszy, najlepiej akademicki, tekst. Bo choć w budynku przy ulicy św. Barbary 3 klub istniał jedynie około trzech lat (1990—1993), to jego powołanie poprzedziła współpraca gdańskich środowisk alternatywno-anarchistyczno-artystycznych, zaś w 1992 następcą KIS-u — już w *stricte* artystycznej formie — zostało pomyślane z rozmachem centrum Otwarte Atelier. W budynku niegdysiejszego OA mieści się się dziś CSW Łaźnia, w budynku KIS-u — na piętrze — prowadzona przez Mańczaka i Piotra Mosura od 2018 roku Galeria UL. Łaźnia konsekwentnie dba o spisywanie i opowiadanie swojej historii, czego dowodem seria książek, które wypuściła w ostatnich kilkunastu latach. UL nie ma szans, by równać się z nią siłą przebicia. Być może więc Księżyk po prostu na informację o ULu nie trafił, ale to musiałoby oznaczać, że tak skrupulatny eseista zaniechał dość elementarnego *researchu* i że czuwający nad procesem wydawniczym redaktor uznanej oficyny zaliczył drobną, ale jednak, wpadkę. Przyszła mi do głowy nawet podła myśl, że to nie żadna wpadka czy przeoczenie, ale pisarski *trick* — lepiej przecież wypada w druku kontrast między dawnym „młodzieżowym” klubem a działającym dziś na ulicy św. Barbary „osiedlowym klubem seniora”. Ale gdyby rzeczywiście Księżyk świadomie, i nie mijając się przy tym z prawdą, wybrał fakt bardziej efektowny, to czy nie można mieć do niego pretensji nie tyle o pominięcie ULa, co o koślawe zestawienie działającej dawniej w KIS-ie Galerii C14 z klubem seniora zamiast z galerią działającą w tym miejscu obecnie?

Wystarczy tych narzekań, ostatecznie przecież siadałem do pisania, chcąc *Dziką rzecz* zarekomendować — co niniejszym czynię — a nie skrytykować. Trudno mieć pretensje do Księżyka o to, że napisał ciekawą książkę, nawet jeśli znalazło się w niej jakieś przeoczenie. Procent gdańskości w *Dzikiej rzeczy* w pełni je zresztą rekompensuje, podobnie jak kolosalna praca wykonana przez Jakuba Banasiaka pozwala przymknąć oko na związaną z gdańską sceną nieścisłość, która znalazła się w jego dopiero co wydanym, gruntownym studium *Proteuszowe czasy. Rozpad państwowego systemu sztuki 1982—1993*. Otóż Banasiak omawiając działalność funkcjonującej przy sopockim BWA Galerii „d” prowadzonej przez Ryszarda Ziarkiewicza, pisze, że kurator zdążył zorganizować w niej trzy pokazy: „Grzegorza Klamana i Eugeniusza Szczudły, Jacka Staniszewskiego oraz młodzieżowej grupy


gularnego ataku. W twoją przestrzeń wkracza ktoś, kto chce ci zrobić krzywdę. Nagle wpadli zamaskowani goście z pałami i napierdalali ludzi po kolei, jak leci. Szok!

Po tym zdarzeniu C14 już nie wróciło do dawnej świetności; przez jakiś czas działały tam jeszcze pracownie plastyczne. Dziś w budynku na Świętej Barbary działa prężny osiedlowy klub seniora.

Agresja wykończyła też Wiejski Klub Godki. Na co dzień działał on jako knajpa, a jego klientelę stanowili znajomi z okolicznej warszawskiej kolonii, ale przychodzili też tubylcy. W charakterze barmanów pracowali sąsiedzi ze wsi. Przybysze ze stolicy szybko się jednak przekonali, że nie ma szans

terapeutycznej z Gdyni” (s. 210). Sprostujmy: w pierwszej z wymienionych wystaw wziął udział nie Eugeniusz Szczudło, lecz inny rzeźbiarz związany z gdańskim młodoartystycznym środowiskiem — Kazimierz Kowalczyk. Co więcej, wystawa, o której mowa, została zorganizowana właśnie z myślą o nim. Pokazano na niej prace z jego dopiero co obronionego dyplomu, które zostały uzupełnione rysunkami Klamana (ostatecznie dołączono do nich jeszcze wiersze Kazimierza Ratonia). Tak relacjonuje sprawę sam Ziarkiewicz w tekście *Gdańsk — poza „Ekspresją”* z katalogu wystawy *Co słychać*, na który to tekst Banasiak powołuje się zresztą w innym miejscu. Skąd u Banasiaka wziął się Szczudło, o którym nie wspomina w żadnym innym miejscu książki? Czy autor *Proteuszowych czasów* po prostu podmienił jednego nieznanego szerzej gdańskiego artystę na innego? To raczej mało prawdopodobne. Być może Banasiak znalazł informację o planowanej wystawie Szczudły i Klamana w jednym z archiwów, które — i to jest chyba największa zasługa jego książki — skrupulatnie przeczesał. Może historia wystawy wyglądała tak: po tym jak wystawę Klaman/Szczudło zadekretowano w jakimś galeryjnym harmonogramie wydarzeń, Ziarkiewicz zobaczył brawurowy dyplom Kowalczyka, na którym artysta pokazał między innymi gliniano-szmaciane figuratywne rzeźby wrzucone do dołu wykopanego na Wyspie Spichrzów. Być może to było powodem zmiany koncepcji prezentacji i zainaugurowania działalności Galerii „d” pokazem — jak pisał kurator — „brudzących” rzeźb Kowalczyka. To oczywiście tylko domniemania, ale byłoby miło, gdyby w Gdańsku ktoś się tą zapomnianą historią zainteresował, choćby i z tego powodu, że zamknięta po kilku dniach wystawa Kowalczyka i Klamana to znaczący *casus* w historii gdańskiej cenzury — i to w pewnym sensie obyczajowej, a w każdym razie wewnątrzśrodowiskowej — o całe piętnaście lat wcześniejszy niż sprawa Doroty Nieznalskiej.

Jeszcze jedna nowość wydawnicza. Wydawnictwo Stentor wznowiło książkę *Sztuka w Polsce 1945—2005* Andy Rottenberg. Możemy w niej znaleźć choćby taki fragment: „Niedługo po *Ekspresji lat 80.* powstała w Gdańsku galeria Wyspa (później znana jako Galeria Wyspa Progres), skoncentrowana na ambitnych, a nawet kontrowersyjnych wystąpieniach młodych twórców, przede wszystkim Grzegorza Klamana i absolwentów jego pracowni w gdańskiej ASP. W latach dziewięćdziesiątych gdańskie środowisko pozyskało jeszcze jedno nowe miejsce. Stała się nim galeria Łaźnia […]” (s. 162). Zacznijmy od tego, że nie do końca wiadomo, co Rottenberg ma na myśli, pisząc o Galerii Wyspa. Czy Galerię Wyspa mieszczącą się na gdańskiej Wyspie Spichrzów, która istotnie zainaugurowała działalność (właśnie dyplomowym pokazem Kowalczyka) zaraz po *Ekspresji lat 80-tych* (taka jest poprawna, choć — przyznaję — drażniąca pisownia), czy też Galerię Wyspa, która w latach 1990—2002 funkcjonowała w uczelnianym budynku na ulicy Chlebnickiej — na to wskazywać by mogło użycie przez Rottenberg formy „ASP”, którą uczelnia zaczęła być dopiero w 1996 roku po zmianie nazwy z PWSSP. Niby to tylko nieścisłość, ale — jak to w historii z kamykiem w bucie — im mniejsza, tym bardziej drażni. Po drugie: „Galeria Wyspa Progres” nigdy nie istniała. Wprawdzie bardzo rzadko w drukach z epoki (np. w katalogu wystawy *Rezultaty* Konrada Kuzyszyna z 1995 roku) można natknąć się na zapis „Galeria & Fundacja Wyspa Progress” (przez dwa „s”*), ale Galeria Wyspa i założona w 1994 roku Fundacja Wyspa Progress były pokrewnymi, jednak nietożsamymi podmiotami. Nie przyjęło się także mówić o „galerii Łaźnia”. Do 1998 roku budynek przy ulicy Jaskółczej najczęściej nazywano po prostu „dawną łaźnią miejską”, potem zaś nazwę (i strukturę) przekształcono na CSW Łaźnia. Nie było galerii Łaźnia, tak jak nie było galerii Zamek Ujazdowski. Na koniec: nie wiem, jaki jest związek między „ambitnością” a „kontrowersyjnością”. Z tekstu Rottenberg wynikałoby, że im bardziej dzieło jest „ambitne”, tym bardziej bywa „kontrowersyjne”. Ta zasada chyba niekoniecznie się jednak sprawdza. Cóż, w przypadku książki Rottenberg nie ma czego bronić, a zarzuty wypada skierować także w stronę wydawnictwa. Oficyno Stentor, nie idź tą drogą! „Wydanie czwarte uzupełnione” wypadałoby chociaż przejrzeć przed drukiem, zwłaszcza jeśli sprzedaje się książkę za 130 zł (!) sztuka.

Wracam tymczasem do Księżyka. Najbardziej w *Dzikiej rzeczy* ucieszyło mnie przywołanie pewnego wydarzenia, które odbyło się w Galerii C14 na przełomie kwietnia i maja 1992 roku. Dwudniowa impreza składała się z artystycznej Nocy Walpurgii (udział wzięli w niej m.in. Joanna Kabala, Maciej Ruciński, Andrzej Awsiej i Zbigniew Sajnóg) oraz zorganizowanego nazajutrz Sympozjonu Psychedelicznego, na którym referaty wygłosić mieli — jak czytamy na przedrukowanym u Księżyka plakacie — Zbigniew Zagajewski, Jacek Sieradzan i Jerzy Prokopiuk. Autor *Dzikiej rzeczy* stwierdza, że „było to niespodziewane spotkanie znawców ezoteryki, religioznawców i intelektualistów z undergroundem” (s. 278). Pytanie: czy Księżyk za niespodziewane uznaje spotkanie undergroundu z intelektualistami czy raczej undergroundu ze znawcami ezoteryki? Jeśli to drugie, to zgłaszam zdanie odrębne. Zainteresowanie ezoteryką i rozmaitymi nieortodoksyjnymi formami duchowości to nie kwestia incydentalna, ale raczej *leitmotiv* alternatywy lat 80. A już na pewno gdańskiej. Dowodem tego nie tylko Sympozjon czy duchowe poszukiwania Rogulusa, ale także urządzona w 1989 roku na Wyspie Spichrzów wystawa *Gnosis*. Tytuł wystawy z całą pewnością nie był przypadkowy, co więcej, w jej katalogu znalazł się fragment książki *Gnostycy* Jacques'a Lacarière'a zapożyczony (bez podania źródła i nazwiska tłumaczki) z redagowanego przez Prokopiuka numeru „Literatury na Świecie” (1987, nr 12) poświęconego gnozie.

Udział Prokopiuka, gnostyka, tłumacza Freuda, znawcy Steinera i Junga, w Sympozjonie wzbudzał moje zainteresowanie już od jakiegoś czasu. Czyżby nie mylił się Ryszard Przybylski, gdy pisał do Tadeusza Różewicza, w tym samym zresztą 1992 roku, że Prokopiuk to „herezjarcha, którego w tym obłędnym katolickim kraju należy szanować”, ale też „przesadny nieco entuzjasta odszczepieńców wszelkiej maści”**, i czy w związku z tym do C14 zwabić go mogła nieco heretycka już wówczas legenda Totartu albo szamańsko-newage'owe poczynania Rogulusa? Próbowałem odtworzyć przebieg Sympozjonu, drążyłem, wypytywałem. Okazywało się jednak, że żadna z osób, do których się zwróciłem, nie mogła przypomnieć sobie pobytu Prokopiuka w Gdańsku. Marek Rogulski powiedział mi, że Sympozjonu za dobrze nie pamięta, ale wspomniał też, że w C14 było krucho z funduszami… Nabrałem podejrzeń. Potwierdził je w końcu Maciej Ruciński, który w przesłanej mi wiadomości przyznał, że Prokopiuk na Sympozjon nie dojechał, ale przesłał tekst referatu pt. *Czas sakralny ongiś i jutro, czyli święta czarownic i antropozofów* (a zatem nieco odmienny od widniejącego na plakacie: *Liturgia świąt czarownic a antropozofia*), który został odczytany przez wyznaczonego do tego prelegenta. Jedna sprawa się wyjaśniła.

Druga jest nieco bardziej złożona. Na stronie jednego z projektów prowadzonych przez działające na Uniwersytecie Gdańskim Laboratorium Niedogmatycznej Duchowości znajduje się bardzo dokładna bibliografia tekstów Prokopiuka***, a w niej odbiegająca od pozostałych sposobem zapisu pozycja:

Sympozjon Psychodeliczny, „O nicości kultury i Potędze Ducha”, Paulus Press, Cooperation: Antoni Kozłowski, 01.05.1992, Jerzy Prokopiuk, Czas sakralny ongiś i jutro, czyli święta czarownic i antropozofów, cz. I, s. 6.

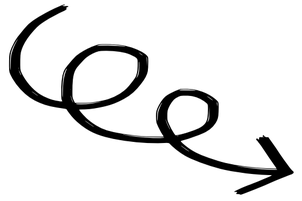
Być może z powodu tego właśnie niestandardowego zapisu pozycja ta nie została odnotowana w bibliografii Prokopiuka zamieszczonej w 5. numerze filozoficzno-teologicznego pisma „Karto-Teka Gdańska” (2019), choć zestawienie to było wzorowane na tym, które widnieje na przywołanej stronie internetowej. Dodatkowo niesprzyjający jest i fakt, że do wymienionej książki dotrzeć niełatwo, i wcale nie było jasne, czy w ogóle istnieje. Pytani o to przeze mnie „świadkowie epoki” odpowiadali, że żadna książeczka z tekstami wystąpień po Sympozjonie nie pozostała. Nawet słynący z encyklopedycznej pamięci Paweł Konnak odpisał, że wedle jego wiedzy „nie ukazała się żadna publikacja z textami referatów (a szkoda)”. Maciej Ruciński, który najpierw odpowiedział podobnie, po pewnym czasie odezwał się z wiadomością, że książeczka jednak istnieje! Wydał ją — jak zresztą można się było spodziewać, wnioskując z zapisu w internetowej bibliografii Prokopiuka — Paweł „Paulus” Mazur. Poza tym równie efemeryczne Wydawnictwo Kubańskie Cycki opublikowało przy okazji Sympozjonu sygnowaną pseudonimem Jerry Jellyhead broszurkę *Psychodeliczna transformacja świadomości* w nakładzie ledwie 30 egzemplarzy.

Ale to nie koniec poszukiwań. Joanna Kabala poinformowała mnie, że za organizację Sympozjonu odpowiadali Antoni Kozłowski, Awsiej i Ruciński. Już wcześniej podejrzewałem, że za pomysłem ściągnięcia do Gdańska Prokopiuka stał ten pierwszy — poeta, związany (raczej luźno) ze środowiskiem Totartu, współzałożyciel wydawnictwa Tawerna Psychonautów, które oprócz tego, że wypuszczało tzw. wydawnictwa pojedyncze, w 1991 roku wydało nawet *Wojnę w człowieku* Fromma. Naprowadziło mnie na to przypuszczenie zdjęcie Kozłowskiego i Prokopiuka, które tłumacz Junga zamieścił w swojej wspomnieniowej książce *Rozdroża, czyli zwierzenia gnostyka*. Fotografia przedrukowana na stronie 83 przedstawia Kozłowskiego i Prokopiuka dyskutujących podczas wykładu Krzysztofa Maurina, wygłoszonego najpewniej na zjeździe Polskiego Towarzystwa Antropozoficznego. Zmarły trzy lata temu Kozłowski w pisanym w 1999 roku tekście, opublikowanym później na portalu Się Myśli, podsumowując działalność Tawerny Psychonautów, tak wspominał organizację Sympozjonu: „[30] kwietnia i 1. maja 1992 roku Antoni Kozłowski jako przedstawiciel «Tawerny Psychonautów» zorganizował w «KIS C 14» spotkanie twórców i publicystów «Noc Walpurgii, czyli Sympozjon o nicości kultury i potędze Ducha». W wydarzeniu udział wzięli m.in. Jerzy Prokopiuk, Zbigniew Zagajewski, K. J. Dowgiałło. Materiały z Sympozjonu czekają na wydanie książkowe, a wstęp do przypuszczalnej publikacji popełnił organizator owego sympozjonu, uzupełniając zebrane materiały różnorodnymi aktami słowotwórczymi, adekwatnymi do charakteru potencjalnej publikacji”****.

Czyżby więc Prokopiuk jednak zjawił się na Sympozjonie? W świetle relacji, o których wspomniałem, nie wydaje się to prawdopodobne. Najpewniej tekst Kozłowskiego pisany był w zgodzie z regułami poetyki zestawień i podsumowań, z których pierwsza brzmi: „jeśli kogoś nie było w realu, ale był na papierze, to BYŁ”. Zasada ta wyjaśniałaby także, dlaczego udział Prokopiuka na Sympozjonie odnotowują Rogulski i Awsiej w kalendarium Galerii C14 („Sztuka i Dokumentacja” 2009, nr 1) oraz Maciej Chmiel w zestawieniu zamieszczonym w książce *Paweł Końjo Konnak — fenomen uczestnictwa w sztuce współczesnej*. Sam Końjo wspomina o Prokopiuku i dwóch pozostałych zaproszonych na Sympozjon badaczach w swoim *Karnawale profuzji*, ale robi to w stylu jak na siebie podejrzanie niekwiecistym, co najprawdopodobniej oznacza, że pisząc ten fragment książki, posiłkował się informacjami z zachowanego plakatu, nie zaś swoją żywą pamięcią. Tak czy siak, Końjo jest ponoć w posiadaniu godzinnego zapisu VHS z tego wydarzenia, który to zapis, miejmy nadzieję, ujrzy światło dzienne i rozwieje wszelkie wątpliwości co do przebiegu Sympozjonu. W tym momencie ważniejszą sprawą jest jednak pytanie, o to, co miał na myśli Kozłowski, gdy wspominał o materiałach z Sympozjonu czekających na wydanie. Czyżby nie wiedział, że wydał je wcześniej Paulus? Ale czy to możliwe, skoro Prokopiukowa bibliografia jasno wskazuje, że sam współuczestniczył w ich edycji? A może — co też da się wyczytać z tejże bibliografii — materiałów było więcej, a Paulus opublikował jedynie ich pierwszą część?

Podsumujmy: mamy w tej chwili pewność, że po Sympozjonie Psychedelicznym zostały przynajmniej dwa wydawnictwa, a wiele wskazuje na to, że istnieją też inne, niewydane jeszcze materiały. W związku z tym prosimy wszystkich, którzy mogą udzielić informacji na ich temat, o kontakt z redakcją. Interesują nas także wspomnienia uczestników, słuchaczy i widzów Nocy Walpurgii i Sympozjonu, a także nagrania i fotografie z obu wydarzeń. Czekając na głosy świadków, zapowiadamy rozmowę z Maciejem Rucińskim na temat Sympozjonu, która ukaże się w jednym z najbliższych numerów „Dyskursu Lokalnego”.

Maksymilian Wroniszewski



* Piotr Mosur poinformował mnie, że pierwotnie Fundacja miała nosić nazwę „Fundacja Wyspa Progres”, a więc przez jedno „s”. Dodanie do nazwy drugiego „s” ma być zaś śladem jakichś środowiskowych tarć. W każdym razie Fundacja została zarejestrowana już w pod nazwą, pod którą funkcjonuje do dziś.

** R. Przybylski, T. Różewicz, *Listy i rozmowy 1965–2014*, podała do druku, oprac. i wstępem opatrzyła K. Czerni, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2019, s. 240. Tę wspaniale opracowaną przez Krystynę Czerni edycję ktoś złośliwy mógłby posłać do wydawnictwa Stentor.

*** Zob. http://www.tradycjaezoteryczna.ug.edu.pl/node/1033

****https://www.siemysli.info.ke/wydawnictwa-pojedynczego-stowarzyszenia-czyli-historia-dzialalnosci-kooperatywy-przyjaciol-tawerna-psychonautow/



Niezatrzymane jeszcze ciało

Latem na odbywające się w ULu I Rozgrywki Kick Off Perfo zjechało nieco zamiejscowych artystów, z których część zorganizowała sobie własny nocleg; zakwaterowaniem pozostałych gości podzieliliśmy się z Patrykiem Różyckim i tak po doposażeniu kwatery na Suchaninie dmuchanym materacem, ulokowaliśmy Anię Bielawską oraz Horacego Muszyńskiego w pokoju Natalii Dopkoskiej, która akurat wypoczywała poza Gdańskiem. Bielawska na pierwszy rzut oka sprawiła na mnie wrażenie kontestatorki – eko-zakręcona, dziury w spodniach (żeby nie kupować nowych), fryganka (jej *Error Bistro* można było oglądać na *Zmierzchu antropocenu* w Zbrojowni Sztuki), chodząca boso po całym mieście, co wydało mi się nieco prowokacyjne etc. W jej buncie nie dało się jednak zauważyć żadnej agresji, przeciwnie – to otwarta i ciepła osoba. Myśmy ją gościli, ale jak się wkrótce okazało, to ona zaopiekowała się nami: gdy po pierwszym dniu Kick Offu zajechaliśmy na Suchanino bardzo późno w nocy, zmęczeni i głodni, zaproponowała, żeby dać jej garnki i pokazać, co jest w kuchni, a coś przygotuje. No to pokazaliśmy; ja trochę powątpiewając w kulinarny cud, bo propozycja wydała mi się nieco zbyt śmiała jak na sytuację: w końcu ledwo się znaliśmy, to nie jej kuchnia, jest późno, wszyscy padnięci etc. (ponadto jako żywieniowy ignorant dziwię się zawsze pasjonackiemu gotowaniu — mnie pichcenie mierzi — ale jeść muszę, dzięki czemu łatwo mnie jedzeniem zdobyć). Tak więc Ania w środku nocy odpaliła palniki i po szybkim szkoleniu z obsługi nataliowego blendera zaczęła miksować, wyciskać, mieszać; gary buchały i pyrkały, zapach rozpełzł się po całym mieszkaniu, tak że nawet nieskory do imprez, bardzo poukładany, czyściutki i „niemiecki” Horacy odpuścił swoje czym-prędzej-spanie-bo-jest-późno i przyszedł do kuchni w białej piżamce jeść z nami. Ania zrobiła jakieś chlebki przypiekane z czymś czerwonym, jakaś niby bruschetta, ale że nie do końca, i ze słonecznikiem… nieważne, było pyszne. Tego samego dnia, wcześniej, zdarzyło się coś jeszcze.

Otóż w trakcie Kick Offu nasze spojrzenia przypadkowo spotkały się (mój Boże, jak bardzo wszelkie romansowe sztampy zepsuły to w zasadzie neutralne określenie, które niełatwo zastąpić; popatrzeliśmy na siebie? skrzyżowaliśmy wzrok? trudno znaleźć określenie, które nie byłoby ani techniczne, ani erotyczno-głupiomądre). Spojrzeliśmy na siebie i spojrzenie to trwało bardzo długo; nie speszyłem się, nie odwróciłem wzroku, tylko pomyślałem, że to trochę dziwne, nieco niekomfortowe, zaraz się zrobi dwuznaczne, jednak z tym gapieniem się trzeba uważać, żeby nie przesadzić. Ona wówczas uśmiechnęła się bardzo szeroko i właśnie niedwuznacznie: ciepło, po ludzku, szczerze; poczułem z jej strony niezwykle otwarty, przyjacielski, jednocześnie naturalny gest. Jeśli miałbym szukać jakiegoś trafniejszego określenia, to znajduję tylko takie nieco abstrakcyjne: odczytałem w tym spojrzeniu i uśmiechu bezinteresowną afirmację.

Wróciło do mnie to spojrzenie, gdy zobaczyłem na Facebooku post i zdjęcia:

https://dyslok.pl/DL12/bielawska1

a zwłaszcza to:

https://dyslok.pl/DL12/bielawska2

W tym momencie w moje wspomnienie dziwaczki, która choć mnie nie zna, to cieszy się, gdy mnie widzi, werżnęło się nowe spojrzenie, to ze zdjęcia. „Przecież to nasza Ania!” — pomyślałem i zaraz odruch, by zareagować, jakkolwiek, rozgłosić, coś zrobić — chwila opanowania — nic nie mogę przecież skutecznie zrobić. I żadna ona „nasza”. I myśl, że przecież miałem świadomość, że to się zdarza, że policjanci bywają brutalni, że ludzie wracali z tych demonstracji pobici, przecież widziałem zdjęcie -emdziesięcioletniego fotoreportera sprzed tygodnia, z Marszu Niepodległości (tfu!) z dziurą po gumowej kuli w twarzy… I choć serce się ściskało, bo stary, bo reporter — widać przecie, że reporter, czemu do niego strzelali? — to jednak… gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Ale jak wióry lecą na nas, na NASZĄ Anię…

Niedobrze być małym.

*

Annie ostatecznie nic się nie stało. „Nie zostałam nawet uszkodzona, chociaż zdjęcia wyszły trochę dramatycznie” — napisała kilka godzin po tym, jak po Sieci rozeszły się fotografie z ruchawki warszawskiej 19 listopada. I dalej: „wyszły dramatycznie, bo sytuacja jest trochę dramatyczna […] fotograficzna eskalacja to niezgodna na mało wyrafinowaną technikę pakowania ludzi do radiowozów, proszę się nie szarpać, proszę mi nie utrudniać pracy”. I na koniec coś, co warto zapamiętać: „Moim skromnym zdaniem […] każdy radiowóz bezpodstawnie wywożący zatrzymaną osobę […] zasługuje na blokowanie ulicy niezatrzymanym jeszcze ciałem”.

PSzM

O traceniu i zachowywaniu

Jakoś w 2019 (2018?) wykonałem autoportret, na którym przedstawiłem się w jarmułce, siedzącego za stołem w pozie zamyślonej i wpatrzonego w ujęty dwoma palcami złoty pieniążek. To była chyba udana praca, tzn. taka, która mnie cieszyła — może nieco ordynarnie grała z odnośnymi kontekstami, ale za to zdołałem oświetlić scenę w taki sposób, aby stworzyć na fotografii nieokreśloną przestrzeń utrzymaną w jasnościach bieli (koszula, stół zlewający się ze ścianą) i nie stracić przy tym plastycznego rysunku postaci; moneta na którejś z dwóch wersji zdjęcia błyskała rześko złotymi bliczkami. To cieszyło szczególnie: jeśliby powiększyć fotografię i uzyskać zbliżenie pieniążka, widać byłoby, iż jest to złoty szekiel z wizerunkiem menory — w rzeczywistości czekoladowy, jeden z wielu, które Robert Gajda i jego znajomi przegrali w drejdle z Natalią Dopkoską na Chanukę w 5776 roku. Długo trzymaliśmy z Natalią te słodycze, bo były zbyt ładne, żeby je jeść, zbyt dużo miłych wspomnień się z nimi wiązało, no i czekoladowe pieniądze słyną z nie najlepszej jakości czekolady. Natalia jest zresztą współautorką omawianej pracy, stała bowiem za aparatem, podczas gdy ja pozowałem wedle własnego pomysłu.

Piszę o tym, bo pod koniec listopada odbywał się FestivALT, a w jego ramach wydarzenie The Lucky Jewathon, czyli 72-godzinny maraton transmisyjny na Zoomie, w czasie którego 18 zaproszonych gościń i gości z całego świata odniosło się do fenomenu „Żyda na szczęście” w wybrany przez siebie sposób, czyli poprzez panele dyskusyjne, taniec, seanse filmowe czy inne działania. Pech chciał, że przez trzy doby trwania performansu mogłem dołączyć do wydarzenia zaledwie na kilka chwil, wskutek czego nie zdołam o nim niczego ciekawego napisać. Może tylko to, że relacje autorsko-organizacyjne projektu nie zostały według mnie dość jasno zakomunikowane, czuję się więc w obowiązku wspomnieć, że na transmisje trafiłem za pośrednictwem facebookowego profilu Kolektywu Kuratorskiego działającego w ramach Ośrodka Badań nad Kulturami Pamięci Wydziału Polonistyki UJ. Wracam teraz do historii własnej pracy, o istnieniu której przypomniała mi tegoroczna edycja FestivALTu.

Otóż autoportret był prezentem dla Piotra Józefowicza. Nie pamiętam już z jakiej okazji, może nawet bez okazji, w każdym razie profesor otrzymał ode mnie ów podarek w postaci maleńkiego wydruku na płótnie oprawionego w ramę znacznie większą od samej odbitki, a wyzłoconą może nie szczerym złotem, lecz szlagmetalem, który starannie zabezpieczyłem przed utlenianiem przy pomocy paraloidu B44 i octanu butylu — tak, aby jak najdłużej zachował swój drogocenny, kiczowaty blask. Fotografia *Żyd z pieniążkiem* powstała w okresie archiwizacyjnego nomadyzmu; zapoczątkowała go krytyczna awaria mojego jedynego komputera, co w połączeniu z brakiem prawdziwych pieniążków poskutkowało tym, że przez rok pracowałem na leciwym sprzęcie pożyczonym od Piotra T. Mosura, który z kolei pożyczył go od Grzegorza Klamana. Później przez kilka miesięcy cieszyłem się makintoszem użyczonym mi przez Karę Lewandowską. Pod koniec 2019 roku kupiłem sobie w końcu własny desktop, a kilka miesięcy później zewnętrzny dysk twardy, na którym zgromadziłem wszystkie odratowane dane z nadzieją, że przechowam je bezpiecznie przynajmniej przez kilka najbliższych lat. Nie minął nawet kwartał, a nowy dysk szlag trafił. Kataklizm ten ostatecznie unicestwił sporo moich niewydrukowanych tekstów, prac wizualnych, szkiców wideo oraz uczynił mierną, okazjonalną edycję *Żyda z pieniążkiem* unikatem. Szkoda, bo w pełni swoich walorów plastycznych to była nienajgorsza praca, a na odbitce, którą ma prof. Józefowicz, nie widać ani menory, ani radosnego blasku monety.

Jestem pewien, że cyfrową wersją zdjęcia podzieliłem się kiedyś w jakimś komentarzu na Facebooku. Niestety, nie mam zdrowia, by jej szukać, zresztą raz na jakiś czas usuwam z mediów społecznościowych ślady swojej działalności, jest zatem szansa, że *Żyda z pieniążkiem* też skasowałem. Może jednak nie? Któregoś dnia usiądę na spokojnie, przeglądnę facebookowy Dziennik Aktywności od deski do deski i może odnajdę zaginioną pracę. Byłoby pięknie, jeślibym odnalazł, bowiem w większości przypadków analiza własnej przeszłości w Sieci skutkuje — w najlepszym razie — poczuciem, że poświęciło się kawał życia na sprawy głupie, nieważne i niepotrzebne nawet w tej konkretnej chwili, gdy się działy. (Jeśli do tego obejrzeć *The Social Dilemma* Jeffa Orlowskiego na Netfliksie, można zdołować się jeszcze bardziej, a nawet nieco spanikować. Dla równowagi odsyłam do stron Fundacji Panoptykon — może świadomość, że ktoś coś z tym stara się zrobić Czytelnika uspokoi).

Mimo pewnych zagrożeń, Internet działa niekiedy na archiwum jak koło ratunkowe na tonącego. Maksymilian Wroniszewski zdradził mi kiedyś, że regularnie wysyła na specjalną skrzynkę e-mail bieżące edycje tekstów w pakiecie zatytułowanym „Aby nie zginęło”. Robi mądrze. Mnie ta mądrość przytrafia się zaledwie ubocznie. Na przykład kilka lat temu wysłałem sam do siebie zbiór tekstów skopiowanych ze strony WWW „ASPirynka”. Zainicjowana ok. 2011/2012 roku przez studentów Wydziału Malarstwa gdańskiej ASP — Karolinę Walczak i Łukasza Ratajczyka (przy wsparciu Martyny Wolnej, pomysłodawczyni tytułu i webmasterki) stronka poświęcona była sylwetkom ówczesnych pedagogów. Znaleźć tam można było np. szkice na temat historii grupy COX (Józef Czerniawski, Kacper Ołowski i członkowie efemeryczni), a także wywiady z profesorami: Krzysztofem Polkowskim, Jarosławem Bauciem, Maciejem Świeszewskim i wspomnianym już Czerniawskim. „ASPirynka” w nieokreślonym momencie historii zniknęła z łącz, a ja przypomniałem sobie o niej dopiero w tym roku, gdy w toku prac nad kolejnymi numerami „Dyskursu Lokalnego” prowadziliśmy w redakcji rozmowy na temat ulotności gdańskich źródeł i istotności archiwum. Kierowany ciekawością, odezwałem się wówczas do autorów „ASPirynki” z pytaniem, czy dysponują materiałami sprzed prawie dekady. Nie dysponowali. Wielka szkoda, bo naprawdę chciałem odświeżyć sobie wywiad z Czerniawskim, którego słowa: „Nie radzę sobie na rynku sztuki” stanowiły tytuł poświęconego mu tekstu i rezonowały w mojej pamięci.

Okazało się jednak — jak już Czytelniczkę uprzedziłem — że wywiady te zachowały się zupełnie przypadkowo na mojej skrzynce e-mail, ku zaskoczeniu redakcji „ASPirynki”. Z radością więc informuję, że archiwalia „ASPirynki”, którymi dysponowałem, w porozumieniu z autorami przekazałem Fundacji Kultury Wizualnej Chmura, zajmującej się badaniem i archiwizowaniem spuścizny artystycznej Trójmiasta, w szczególności lokalnej sceny alternatywnej.

Aby nie zginęło.

Piszę to, aby móc zakończyć apelem: archiwizujcie! Jeśli otworzyć Wikiquotes na haśle *Historia*, znajdzie się tam dwa sąsiadujące ze sobą cytaty:

„Historia jest pisana przez zwycięzców.”
— Winston Churchill

„Historia — zbiór faktów, które nie musiały zajść.”
— Stanisław Jerzy Lec

Słowa Leca można zrozumieć dwojako, ale załóżmy teraz, że obydwie sentencje są o tym samym. Komukolwiek uda się stanąć na podium „historycznosztucznym” jako „przedstawicielowi epoki”, ten będzie o swoim czasie i środowisku opowiadał tak, jak zechce — dopóki nie znajdzie się persona dostatecznie dociekliwa, by przepytać świadków, przewertować źródła i obowiązującą narrację potwierdzić lub jej zaprzeczyć. Źródła i świadkowie muszą jednak istnieć. Im jest ich więcej, im bardziej są różnorodne — tym lepiej. Nie chcę epatować patosem i napominać, że z każdą chwilą stajemy się przeszłością etc. — choć jest to prawda, tym boleśniejsza, im lepiej rozumie się prawidła wyłożone przez Juliana Antonisza w *Kilku praktycznych sposobach na przedłużenie sobie życia*. Rzecz w tym, że archiwizowanie jest w rzeczywistości bardzo łatwe. 100 GB Dysku Google kosztuje niespełna 10 zł miesięcznie. Nadanie swojej gazetce numeru ISSN jest bezpłatne, tak samo jak wysyłka Pocztą Polską do Bibliotek: Narodowej, Jagiellońskiej, Uniwersytetu Warszawskiego i innych uprawnionych do gromadzenia egzemplarzy obowiązkowych. A jeśli się nie chce numerować, to i dobrą sprawę w ogóle nie trzeba. Oddział Dokumentów Życia Społecznego BN gromadzi w zasadzie wszystko: plakaty, afisze, ulotki etc. Nie wyśle się tam co prawda oryginalnego obrazu / rysunku / rzeźby, ale nic nie stoi na przeszkodzie, żeby raz na rok albo pół roku złożyć katalog własnej twórczości, powielić w dwóch-trzech egzemplarzach nawet na domowej drukarce i posłać do Warszawy jako publikację niskonakładową. Czyż to nie raj dla historyków sztuki?

Kochani artyści i artystki! Chcecie, żeby o was pisano i pamiętano? To archiwizujcie. No i niech wasze portfolio da się znaleźć gdzieś w Internecie, ale o tym innym razem.

PSzM

OGŁOSZENIA

Wschód

17 grudnia br. na stronie Fundacji Artystów Kolonia Teraz odbył się onlajnowy wykład Very Zalutskaya pt. ***Smutny dres. Problem egzotyzacji krajów postkomunistycznych***. Zapis jest dostępny pod adresem:

https://dyslok.pl/DL12/zalutskaya

A już w połowie stycznia na kanale ULa (https://ul.gda.pl/yt) ukaże się zapis zorganizowanego wspólnie przez FAKT, UL i GGM wykładu Anny Karpenko pt. ***Praca kolektywna jako strategia artystycznego oporu***.

Zapraszamy!

Ślub

W ostatnim numerze „DL" zapomnieliśmy pogratulować Adzie Majdzińskiej i Czesławowi Podleśnemu wejścia w związek małżeński. Żałujemy, że nikogo z redakcji nie było na uroczystościach, ale i tak obecność prezydent Dulkiewicz i mecenasa Stelmasiewicza by nas przyćmiła, więc pozostaje tylko życzyć wszystkiego dobrego na nowej drodze życia!

Upamiętnienie

W ostatnim numerze zapomnieliśmy też napisać, że w pierwszej połowie października w pracowni prof. H. Cześnika (s. 309, ASP) odbyło się upamiętnienie Szymona Wirchanowicza (1993—2020) pt. ***Dyplom przed czasem***.

Wystawie towarzyszył podobno katalog. Redakcja postara się do niego dotrzeć i coś na ten temat napisać, gdy tylko dr Jakub Pieleszek zacznie odpisywać na wiadomości.

11 listopada

11 listopada br. UL obchodził swoje drugie urodziny.

Ze względu na niemożność spotykania się i ogólny chaos w kraju nie chwaliliśmy się tym zbyt mocno, ale obiecujemy, że gdy wszystko się uspokoi, będziemy świętować jak należy.

Życzenia

Zaprzyjaźnione Museum of Hysterics składa Czytelnikom serdeczne życzenia na rok 2021.

MUSEUM OF HYSTERICS
LESZEK PRZYJEMSKI
FÖRSTERSTRASSE 5
46539 DINSLAKEN
TEL.: +49 2064 / 94478

POZDRAWLAJU WAS, FIEDIA

Z kącika krytyka

Wywiad idealny

Czy zdarzyło ci się przeczytać wywiad, którym byłeś rozczarowany? Banalne pytania? Nieciekawe odpowiedzi? Jest na to prosty sposób! Uważaj.

Pomyśl przez chwilę, z kim chciałbyś przeczytać wywiad. Weź kartkę i długopis. Zanotuj pierwsze pytanie. Dobrze. A teraz na nie odpowiedz. Proste, prawda?

Żeby nie było to tylko puste gadanie (pisanie?), poniżej zamieszczam mój wymarzony wywiad.

Jest to wywiad z (bardzo znanym) krytykiem sztuki. Zapraszam.

Redaktor: Czym jest sztuka?

Krytyk: Robieniem rzeczy niepotrzebnych.

R: Czy w takim razie istnieje dobra sztuka?

K: Tak.

R: Czym więc jest dobra sztuka?

K: Robieniem rzeczy niepotrzebnych, ale wartościowych.

R: Wartościowych, czyli istotnych czy mających wymierną wartość?

K: Odpowiedzią niech będzie cytat ze znanego profesora mówiący, że niektóre rzeczy warto a niektóre opłaca się robić.

R: (pauza) Czy sztuka nadąża za światem?

K: (śmiech) Jest anachroniczna względem wszystkiego, co się dzieje! W tym jej urok.

R: Czego sztuka powinna unikać?

K: Mód, bylejakości i zbędnej powagi.

R: Czy sztuce potrzebni są jeszcze artyści?

K: Sztuce potrzebni są spostrzegawczy i mądrzy ludzie. Jeśli akurat tak się złoży, że są przy okazji artystami, to świetnie.

R: Na koniec pytanie filozoficzno-egzystencjalne. Czego powinniśmy szukać w sztuce?

K: Prawdy o sobie i chwili wytchnienia.

R: Czy to jest w ogóle możliwe?

K: Oczywiście. Ale czy na pewno chcemy to znaleźć?

Cdn.

Widzisz? To wcale nie jest trudne! Teraz spróbuj sam i podziel się swoim wywiadem ze mną, wysyłając mail na adres:

criticforrent@gmail.com

Najlepszy z nadesłanych wywiadów będzie miał szansę na publikację w naszym piśmie!

„Dyskurs Lokalny" nr listopadowo-grudniowy (12) 2020
ISSN 2657-8492 — https://dyslok.pl — redakcja@dyslok.pl
Wydawca — UL — ul. Św. Barbary 3, 80–756 Gdańsk — https://ul.gda.pl
Redakcja — Olimpia Błaszczyk — Kara Lewandowska — Piotr Szymon Mańczak (red. nacz.) — Maksymilian Wroniszewski
Ilustracje i zdjęcia — Sebastian Choromański — http://instagram.com/sebastianchoromanski
— Tomek Cieślikowski — http://fb.com/obrazowo1
— Krzysztof Wróblewski — http://krzysztof-wroblewski.com
Skład i łamanie — Katarzyna Serkowska, Piotr Szymon Mańczak
Druk — Wydawnictwo Eksperymentalne „X-Press"
— https://eksperymentalne.pl — wydawnictwo@eksperymentalne.pl